

Twarze i maski

TEATR Maciej Prus zamyka bohaterki „Madame de Sade” w gorsecie formy, wiedząc, że to jedyna droga, by strzepnąć kurz czasu ze sztuki Yukio Mishimy

Jacek Wakar, Polskie Radio

W polskim teatrze nazwisko japońskiego pisarza kojarzy się właściwie wyłącznie z tym dramatem. Owszem, Andrzej Wajda wystawił kiedyś w krakowskim Starym Teatrze jednoaktówki zebrane w spektakl „Mishima”, mierzone się z tymi krótkimi tekstami także w Teatrze Współczesnym w Warszawie. Jednak dla szerszego grona odbiorców Mishima to „Madame de Sade”. Jest jeszcze kilka powieści, z najbardziej znaną „Złotą Pagodą”. Te jednak ukazały się u nas przed laty i do dzisiaj nie doczekały się wznowień.

Z „Madame de Sade” jest inaczej. Był czas, gdy tytuł ten był niemal legendą, a potem zyskał ogromną popularność. Wszystko zaczęło się w końcu lat 80. od przedstawienia Aleksandry Śląskiej w warszawskim Ateneum. Wielka aktorka nie tylko reżyserowała, ale też grała markizę de Montreuil. Scenę 61 oblegały tłumy. Niektórzy, również ja, widzieli wówczas na scenie Śląską ten jeden jedyny raz. Zapamiętali również Ewę Wiśniewską w roli tytułowej. Sukces spektaklu sprawił, że przez kolejne sezony dramat Mishimy niemal nie opuszczał afiszy, ale żadna z inscenizacji, wliczając telewizyjną wersję Andrzeja Sapiję, nie powtórzyła triumfu polskiej prapremiery. Nie udało się to również Barbarze Sass, którą sięgnęła po „Madame de Sade” znów w Ateneum, tym razem obsadzając Wiśniewską w partii starej markizy. Przedstawienie zgubiło gdzieś ostrość oryginału, zamieniając ją na sentymtalne psychologizowanie. Wydawało się wówczas, że sztuka kończy właśnie karierę na naszym gruncie.

Maciej Prus wiedział jednak, że „Madame de Sade” nie da się zagrać tak, jak napisał ją autor. Nie można ocalić wszystkich słów, nie da się nie przeciąć kwiecistych, czasem niemiłosiernie długich fraz, ukrywających często sedno emocji postaci. Trzeba dość radykalnych skrótów, bo dzisiaj styl Mishimy i jego język dobrze oddany w tłumaczeniu Stanisława Janickiego i Yukio Kudo należą do przeszłości. Inaczej rozmawiamy, inaczej oddajemy uczucia, naturalna kolej rzeczy. Jedyna zatem droga to kondensacja słów i emocji. Pozostawienie bohaterki na niemal pustej scenie, za to uwięzienie ich w klasycznym, bogatym kostiumie. Wytrzymane gesty, wystudiowane pozy. Sztuczność, która niepostrzeżenie staje się naturalnością.

Takie jest właśnie przedstawienie grane na najmniejszej scenie Narodowego – Scenie Studio. Jagna Janicka zamknęła ją jedną ścianą przyozdobioną ascetycznym ornamentem. W przestrzeni gry ustawiła ledwie trzy krzesła. No i ubrała aktorki we wspaniałe suknie, wraz z reżyserem każąc im traktować je jako ciasny gorset, więzienie dla ciała i emocji. Dlatego siła tej „Madame de Sade” opiera się na wyrazistości tonu i gestu. Wybrzmiewa każde słowo, czasem brzmiące jak skarga, innym razem niczym oskarżenie. Mocną, bo tak ascetyczną kreację tworzy Dominika Kluźniak jako Renée, markiza de Sade. Nie ma w sobie niczego z masochistki, raczej poczucie życiowej powinności, potem przeradzającej się w bunt. Rola świetnej aktorki niesie temat spektaklu – jak wiele człowiek jest zdolny znieść i w jakim celu? Ewa Wiśniewska powraca do markizy de Montreuil, pięknie ukazując jej walkę o miłość córki oraz strach przed samotnością na starość. Znakomity jest epizod Beaty Ścibakówny (hrabina de Saint-Fond) – decydującą się na obyczajowe prowokacje, które skrywają kompleksy i odrzucenie. Wszystkie aktorki trzymają żelazną formę widowiska i właśnie to dyktuje jego klasę.



„Madame de Sade” Yukio Mishimy | reżyseria: Maciej Prus | Teatr Narodowy w Warszawie

